

— Nie. Jest ona w moim pokoju. Jest to papierośnica stołowa, koloru brązowego. Z jednej strony kładzie się tytoń i bibułka do kręcenia, z drugiej zapalki. Na wierzchu są dwie złote litery: L i M.

— Co mówisz?

To Chapman wysunął się naprzód. Zdawał się bardzo zdziwiony i wypytywał służącego.

— Papierośnica z brązowej stali, powiadasz?

— Tak.

— Z trzema przedziałkami na tytoń, bibułka i zapalki... tytoń rosyjski, nieprawdaż? Cienko krajany, jasny?

— Tak.

— Idź, przynieś ją. Chciałbym ją widzieć... Chciałbym sam sobie zdać sprawę...

Gustaw Bedand, na znak dany przez szefa bezpieczeństwa, poszedł.

Pan Lenormand usiadł i przenikliwym wzrokiem rozglądał się po dywanie, meblach, firankach.

— Czy w istocie znajdujemy się pod numerem 420 — zapytał.

— Tak jest.

Sędzia się zaśmiał.

— Radbym też wiedział, jakiego to związku możesz się pan doszukiwać pomiędzy tą okolicznością, a właściwym dramatem. Pięcioro zamkniętych drzwi oddziela nas od pokoju, w którym pan Kesselbach został zamordowany.

Pan Lenormand nie raczył odpowiedzieć.

Upływał czas. Gustaw nie wracał.

— Gdzie on mieszka, panie dyrektorze? — zapytał szef.

— Na szóstym piętrze, a więc nad nami. To ciekawe, dlaczego go dotąd niema.

— Czy byłby pan łaskaw posłać kogo?

Dyrektor poszedł sam, a Chapman mu towarzyszył.

Za kilka minut dyrektor powrócił sam. Biegł, twarz jego zdradzała wzburzenie.

— No i cóż?

— Nie żyje...

— Zamordowano go?

— Tak jest.

— A, do kroćset! potężni są ci nędznicy! — rzekł pan Lenormand. — Dalej! prędko Gourel! Zamknąć bramy hotelu!... Pilnować wszystkich wyjść!... A pan, panie dyrektorze, niech nas pan zaprowadzi do pokoju Gustawa Bedand.

Dyrektor wyszedł. Ale w chwili opuszczenia pokoju pan Lenormand nachylił się i podniósł małe kółko papieru, które wzrok jego już dawniej zauważył.

Była to etykieta z niebieską obwódką, a na niej była cyfra 813. Na wszelki wypadek wsunął to do swego portfela i przyłączył się do reszty.

IV.

Wąska ranka na plecach, pomiędzy łopatkami...

Lekarz wydał orzeczenie:

— Zupełnie taka sama rana, jak u pana Kesselbacha.

— Tak — zauważył pan Lenormand — to ta sama ręka cios zadała i ta sama broń tu służyła.

Sądząc po pozycyi trupa, człowieka tego zaskoczono, gdy klęczał przed swoim łóżkiem i szukał pod materacem ukrytej tam papierośnicy. Ręka wsunięta jeszcze była pomiędzy materac a spód łóżka, papierośnicy jednakże już tam nie znaleziono.

— Musiał to być przedmiot strasznie kompromitujący — podsunął pan Formerie, który już nie śmiał wygłaszać zbyt ściśle określonego zdania.

— Sądziłbym! — mruknął szef bezpieczeństwa.

— Ale znany pierwsze litery: L i M. A wobec tego zważywszy, co pan Chapman zdaje się wiedzieć, będziemy się mogli łatwo zorientować.

Pan Lenormand drgnął.

— Chapman! Ależ gdzie Chapman?

Zajrzano na korytarz, gdzie skupiały się gromadki ludzi. Chapmana wśród nich nie było.

— Pan Chapman mi towarzyszył — oświadczył dyrektor.

— Tak, tak, ja wiem, ale nie zeszedł razem z panem.

— Nie, ja go pozostawiłem przy trupie.

— Zostawiłeś go pan! samego?...

— Powiedziałem mu: „Niech pan tu zostanie, niech się pan stąd nie rusza“.

— I nikogo tam nie było? nikogo pan nie widziałeś?

— W korytarzu nie było nikogo.

— Ale w sąsiednich komórkach strychowych... albo tam za zakrętem... czy nikt tam się nie krył?

Pan Lenormand był wielce poruszony. Chodził tam i napowrót, otwierał drzwi pokoi. I nagle zaczął biec z szybkością, o którą trudno było go kto posadzić.

Zbiegł sześć pięter, a za nim w odstepie podążał dyrektor i sędzia śledczy. Na dole przed główną bramą odnalazł Gourel'a.

— Czy nikt nie wychodził?

— Nikt.

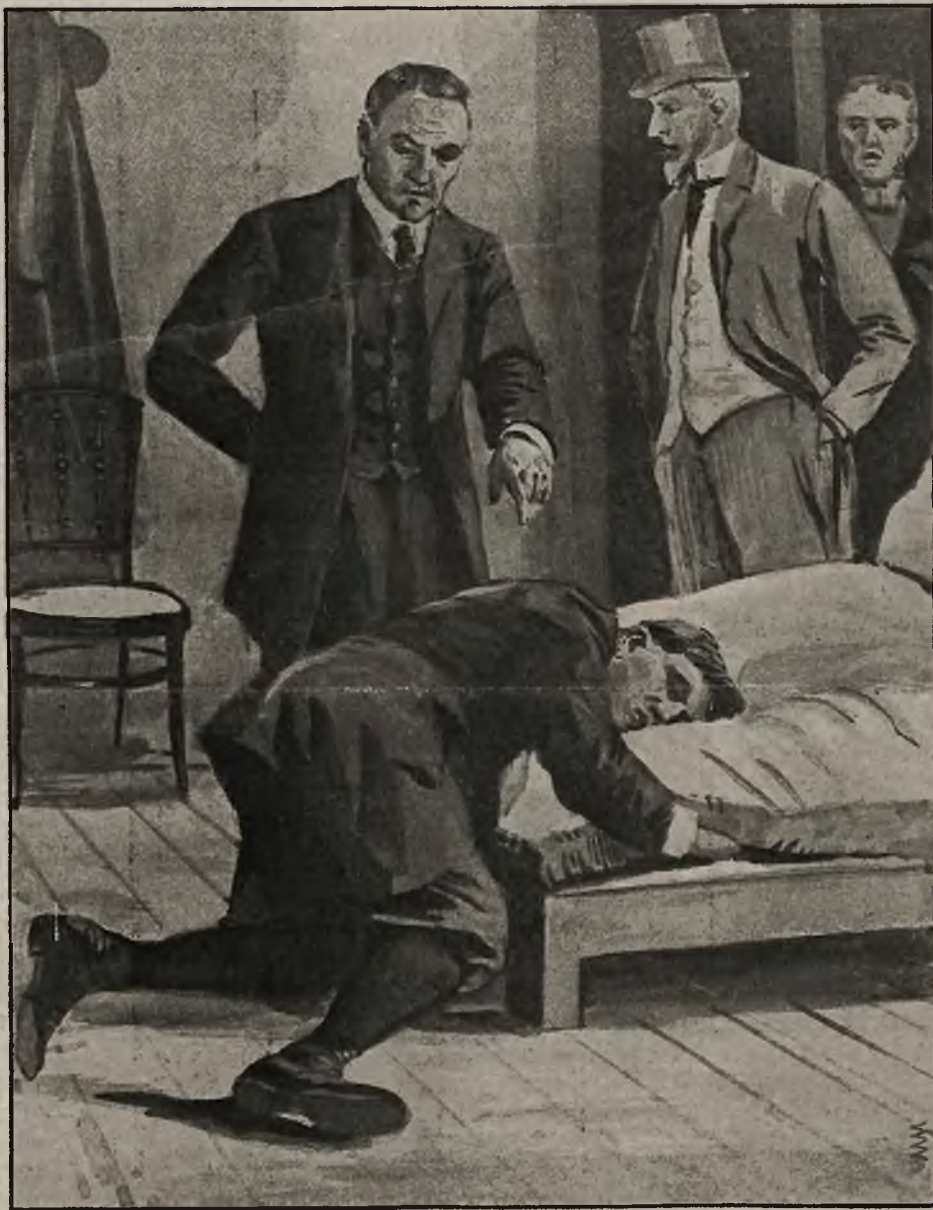
— A z drngiej bramy, na ulicę Orvietto?

— Postawiłem tam Diensy'ego na straż.

— Z wyraźnymi instrukcjami?

— Tak, panie szefie.

W wielkim hall hotelowem tłum podróżnych



Wąska ranka na plecach pomiędzy łopatkami...

cisnął się niespokojnie, komentując mniej i więcej ściśle wersje, jakie go dochodziły o zbrodni. Cała służba, zwołana telefonem, schodziła się po kolei. Pan Lenormand wypytywał ich zaraz.

Nikt z nich nie umiał dać żadnych wyjaśnień. Jednakże stawiła się pokojowa z piątego piętra. Ta, może na dziesięć minut przedtem, minęła się z dwoma panami, którzy schodzili służbowymi schodami pomiędzy piątem a czwartym piętrem.

— Schodzili bardzo prędko. Pierwszy prowadził drugiego za rękę. Zdziwiło mnie to, że widzę ty dwóch panów na służbowych schodach.

— Czy mogłabyś ich poznać?

— Tego, który szedł pierwszy, nie poznałabym. Odwracał głowę. Szczupły, blondyn. Miał czarny, miękki kapelusz na głowie, a na sobie czarne ubranie.

— A drugi?

— Ach, tamten, to był Anglik, o tłustej twarzy, zupełnie ogolonej i w ubraniu w kratki. Szedł z gołą głową.

Rysopis był najoczywistej rysopisem Chapmana. Dziewczyna dodała:

— Wyglądał... wyglądał dziwnie... miał taką minę, jak gdyby zwaryował.

Zapewnienie Gourela nie wystarczyło panu Le-

normandowi. Wypytywał kolejno groomów, którzy stali przy obu bramach.

— Zналиście pana Chapmana?

— Tak, proszę pana. On zawsze z nami rozmawiał.

— I nie widzieliście, czy wychodził?

— O, co nie, to nie. Dziś rano wcale nie wyszedł.

Pan Lenormand zwrócił się do komisarza policyi.

— Ilu ludzi masz pan tu, panie komisarzu?

— Czterech.

— To mało. Niech pan zatelefonuje do swego sekretarza, żeby panu przysłał wszystkich, których ma do dyspozycji. I zechciej pan sam zorganizować jak najściślejszy nadzór nad wszystkimi wyjściami. Stan oblężenia panie komisarzu...

— Ależ ostatecznie, moi klienci... — zaprotestował dyrektor hotelu.

— Co tam pańscy klienci, mój panie... Mój obowiązek ważniejszy nad wszystko, a moim obowiązkiem jest aresztować za wszelką cenę.

— A więc pan przypuszcza... odważył się sędzia śledczy.

— Ja nie przypuszczam, ja jestem pewien, że sprawca podwójnego morderstwa znajduje się jeszcze w hotelu...

— A więc Chapman...

— W danej chwili nie ręczę za to, czy Chapman jeszcze żyje. W każdym razie tu o minuty, może o sekundy chodzi... Gourel bierz dwóch ludzi i przetrząśnij wszystkie pokoje na czwartym piętrze... Panie dyrektorze, niech mu jeden z pańskich urzędników towarzyszy. Na inne piętra pójdę, gdy nam przyjdą posiłki. Dalej Gourel, idź, szukaj, a otwieraj dobrze oczy... To gruba zwierzyzna...

Gourel i jego ludzie zwawo poszli do roboty. Pan Lenormand został w hallu i w pobliżu biur zarządu. Tym razem, wbrew zwyczajowi, nie myślał siadać. Chodził od głównego wyjścia do wyjścia na ulicę Orvietto i znowu wracał, skąd przyszedł.

Od czasu do czasu wydawał rozkazy.

— Panie dyrektorze, proszę kazać pilnować w kuchniach, możnaby uciec tamtędy...

— Panie dyrektorze, niech pan poleci pannie przy telefonie, żeby odmawiała połączenia komukolwiek z hotelu, ktoby chciał telefonować do miasta. Gdyby kto telefonował z miasta, niech go połączy z osobą wezwaną, ale niech zanotuje nazwisko osoby.

— Panie dyrektorze, niech pan każe sporządzić listę gości, których nazwisko zaczyna się od L., albo od M.

Mówił to wszystko głosem doniosłym, jak jenerał, rzucający adjutantom rozkazy, od których zależeć ma los bitwy.

I była to istotnie straszna i zarta bitwa, która w ramach eleganckiego paryskiego hotelu toczyła się pomiędzy potężną osobistością, jaką

jest szef służby bezpieczeństwa publicznego, a tem tajemniczem indywiduum — ściganem, śledzonym, już nieledwie uwięzionem, a tak groźnem, bo dzi kiem i chytrze podstępem.

Trwoga ogarniała widzów, skupionych w milczeniu w pośrodku hallu, dyszących, drżących ze strachu na najlepszy odgłos, prześladowanych piekielną wizją mordercy. Gdzie on się ukrywać może? Czy się ukaże? A może jest w pośród nich? Może to ten?... A może tamten?

Nerwy tak były napięte, że odruchem buntu byłby drzwi wyłamali i wyszli na ulicę, gdyby nie obecność Władcy. Ale on tam był, a sama obecność jego uspakajała i dodawała otuchy. Spływało od niego na nich poczucie bezpieczeństwa, jak na załogę statku, w którym dowodzi dzielny kapitan.

To też oczy wszystkich goniły za tym starym siwym panem w okularach, w surducie oliwkowym i brązowym futrze, który przechadzał się zgarbiony, na niepewnych nogach.

(Ciąg dalszy nastąpi).